

Szymon Z

Historia rodziny podczas II wojny światowej - Franciszka Zawadzka

Dnia 1 września 1939 r. nazistowskie Niemcy otworzyły jedną z najtragiczniejszych kart w dziejach świata – rozpoczęła się II wojna światowa. Od tego czasu, w pamięci mojej prababci od strony taty – Franciszki Zawadzkiej z domu Janua, dzień po dniu, zapisywały się tragiczne obrazy „piekła na ziemi”. Urodzona 01 kwietnia 1923 r. w Godziszce niedaleko Szczyrku, miała wtedy zaledwie 16 lat. Jej brat, którego zabrano do wojska walczył na frontach, a reszta rodziny każdego dnia walczyła o przetrwanie. *„Nie wolno nam było mówić po polsku, chodzić do kościoła, ani wieczorami wychodzić z domu”* – pisała w swoich wspomnieniach. Kiedy jej ojciec stracił pracę, bieda i głód stały się nieodłącznymi towarzyszami ich życia. Sytuacja stała się jeszcze bardziej tragiczna, kiedy w 1941 roku zmarła jej mama. Wydawać by się mogło, że nic gorszego niż wojna i śmierć rodzica nie może człowieka w życiu spotkać. Jak się jednak wkrótce okazało Adolf Hitler stworzył dla milionów istnień ludzkich obozy śmierci – miejsca, o których nie śniło się nikomu nawet w najstraszniejszych koszmarach. Zaczęły się wywózki na przymusowe roboty i „łapanki”, z których trafiało się na samo dno piekła, skąd ucieczką była jedynie śmierć.

Droga prababci do obozu zaczęła się w 1942 roku, kiedy ojciec i brat, który powrócił ranny z wojny odmówili podpisania niemieckiego obywatelstwa. Trafiała do aresztu, gdzie w piwnicznych celach wraz innymi czekała na wyrok dotyczący przeznaczenia. Przebywała tam do 1943 roku. Pracowała bardzo ciężko w kuchni za skromne, więzienne wyżywienie. Była torturowana. Jednak najstraszniejsze miało dopiero nastąpić. W lutym 1943 roku wraz z innymi została wywieziona do KL Auschwitz (Konzentrationslager Auschwitz), najgorszego obozu zagłady w Oświęcimiu. Przez kilka godzin zmarznięci i głodni czekali przed bramą wejściową. Po jej przekroczeniu zaczął się proces odczłowieczania wszystkich, którzy tam trafiali. Osoby zdrowe kierowano do pracy, a chorych i słabych przeznaczano do eliminacji w komorach gazowych. Moja prababcia została uznana za zdolną do pracy i stała się dla esesmanów numerem obozowym 35945, który wytatuowano jej na lewym przedramieniu. Obudzona w środku nocy musiała być w stanie go wyrecytować w niemieckim brzmieniu. Tak jak innych współwięźniów, rozebrano ją do naga i ogolono na łyso. Dostała „obozowe pasiaki”, drewniaki na nogi, miskę i trafiła do bloku siódmego. Warunki w jakich przyszło jej żyć wydawały się niemożliwe do przetrwania. Bród, smród i wszechogarniająca śmierć stały się codziennością życia. *„Do dzisiaj mam ten straszny widok przed oczami – to okropne błoto, w którym topiliśmy się po kostki na placu między blokami. Wszystko było przerażające...”*

W spisanych wspomnieniach wracała pamięcią do pierwszego apelu. Zbiórka przed blokiem o 3 rano, zimno, liczenie więźniów. Nikogo nie mogło brakować. Pamiętała dobrze 24 letnią kobietę, która ukryła się, żeby uciec do dzieci, i którą zakatowano za to na śmierć dla przestrogi, na oczach wszystkich. Ten widok utkwiał w świadomości prababci Franciszki na całe życie. Co jednak najważniejsze – skutecznie zniechęcił do podejmowania prób ucieczki.

Wtedy na pierwszym apelu podzielono nowoprzybyłych więźniów na 600-osobowe grupy. Takimi grupami chodzili do ciężkiej i wykańczającej pracy. Budowali Brzezinkę – obóz śmierci dla setek tysięcy niewinnych ludzi, który ginęli tylko za to, że byli Polakami. *„Gdy wracałyśmy po pracy do bloków, każda z nas musiała nieść cegłę do budowy nowych baraków... Jedna cegła upadła mi i pękła. Esesman to zobaczył, podszedł do mnie i uderzył mnie karabinem w głowę w okolicę ucha i do dziś na to ucho nie słyszę. To jest dowód na to, że dla tych zwyrodnialców większą wartość miała cegła niż człowiek”* – twierdziła prababcia. Praca ponad siły i głodowe racje żywieniowe powodowały, że setki ludzi umierało z wycieńczenia. *„Pracowaliśmy ciężko od rana do wieczora, każda z nas miała przywiązaną na sznurku miskę do pasa, z której jedliśmy zupę wydawana przez kuchnię polową – zupy te były obrzydliwe, niejednokrotnie z robakami i glistami, ale zawsze smakowały, bo przecież trzeba było czymś żyć”*.

Codziennie życie w obozie było odrażające. Ludzie byli skrajnie wycieńczeni. Ich ubrania przesiąknięte były brudem i potem. Pchły, wszy, pluskwy i szczury gryzły niemiłosiernie. Raz na jakiś czas odzież zabierano do prania. Więźniowie stali wtedy nadzy pod blokami, czekając, aż oddadzą im mokre pasiaki, które miały na nich wyschnąć. Wszędzie szerzyły się choroby takie jak grypa czy tyfus. Do szpitala nikt nie chciał trafić, bo stamtąd rzadko ktoś wracał. Prababcia Franciszka nie raz była chora. Jednak jak tylko była w stanie stać na nogach, szła do pracy. Tylko to dawało szansę przeżycia. Poza budową Brzezinki, pracowała też przy przewożeniu kotłów z ziołami i zupą w bloku 26. Niestety ze względu na bliskość krematorium i przebyte wcześniej choroby płuc, nie mogła tam długo zostać – trudno było jej oddychać dymem ze spalania ludzkich ciał. Kiedy trafiła do pracy przy zaplataniu sznurów ze starych szmat, codziennie chodziła tam 6 kilometrów. Drewniaki raniły jej stopy, aż do krwi – jeszcze wiele lat później zastanawiała się jak to wytrzymała.

Po pracy nie było odpoczynku. Fabryka śmierci nie zatrzymywała się ani na chwilę. Zaczynało się tzw. dziesiątkowanie. Co dziesiąta kobieta trafiała na blok 25, skąd już się nie wracała. Trzymali tam je w ścisiku, bez jedzenia i picia. Krzyczały przeraźliwie błagając o litość! Bez skutku. W nocy zbierano tych ludzi na samochody i wywożono na spalanie. Niektórzy umierali wcześniej z wycieńczenia albo przez uduszenie.

To jednak, co najbardziej przerażało prababcie Franciszkę, to okrucieństwo wobec dzieci. Zabierano je od rodziców, wywożono samochodami do wykopanych wcześniej dołów i palono. „*Za co?! - pytała. Dlaczego?! Przecież te niewinne istoty nic nikomu nie uczyniły, przecież mogły żyć!*” Kto tego nie przeżył nie jest sobie w stanie nawet wyobrazić sobie panującego tam okrucieństwa. Babcia pisała, że „*nad Oświęcimiem i Brzezinką nigdy nie świeciło słońce*” – *nie mogło się przedostać przez tumany tlustej masy dymu, który wydobywał się z kominów krematoryjnych w których ginęli niewinni ludzie*”. Ta dzielna kobieta jednak zawsze żyła nadzieją, że to wszystko kiedyś zakończy się dla niej szczęśliwie i będzie jeszcze mogła spotkać swoją rodzinę.

W październiku 1944 roku nadarzyła się okazja opuszczenia obozu. Prababcie wraz 1800 innych kobiet wywieziono do Flossenburga na przymusowe roboty. Jechały tam pociągiem, w strasznych warunkach. Praca pod ziemią, w fabryce radia i aparatury była ciężka, jedzenie jeszcze gorsze niż w Auschwitz. Jedno było lepsze – NIE BYŁO STRASZNEGO WIDOKU DYMIĄCYCH KOMINÓW I ROZŻARZONYCH PIECÓW, W KTÓRYCH ŻYWCEM PALONO NIEWINNYCH LUDZI. Skrajnie trudne warunki sprawiały, że ludzie chorowali i umierali. Pod koniec wojny w roku 1945 moja prababcia ważyła zaledwie 38 kg. Rozkaz opuszczenia fabryki, z uwagi na zbliżający się front przyszedł 7 kwietnia. Naloty, ciągła ucieczka, niepewność i przeogromny strach nie miały końca. Wreszcie prababcia trafiła do koszarów, gdzie jak napisała „*były chyba wszystkie narody*”. To tam znalazła schronienie, opiekę lekarską i lepsze jedzenie. Nie zdecydowała się na ucieczkę do Francji. Postanowiła czekać na transport do ojczyzny, do Polski i rodziny, który miał nadejść przed 22 lipca. Można sobie tylko wyobrazić, co czuła, kiedy znalazła tam, skąd zaczęła się jej straszna wędrówka. Niestety w rodzinnej wsi zastała ją okropna bieda. To pchnęło ją do wyjazdu do swojej siostry do Dusznik, gdzie mogła rozpocząć pracę. Tam poznała Michała Zawadzkiego, który był dowódcą placówki WOPR- u. Po ślubie w grudniu 1946 roku, otrzymali gospodarstwo w Konradowie, gdzie wychowali dziewięcioro dzieci. Gospodarstwo ich łącznie obejmowało 18 hektarów, na których uprawiali groch, buraki, zboże i len. Hodowali też świny, krowy oraz owce i dwa konie do pracy. Dziadek dorabiał, aby wiodło się im lepiej w POM-ie, jako kierowca ciągnika. Babcia zaś zajmowała się szyciem i naprawami krawieckimi. Żyli skromnie, ale zgodnie i szczęśliwie.

Prababcia Franciszka zmarła 3 lipca 2005, gdy ja miałem niespełna rok. Bardzo żałuję, że nie mogłem poznać jej lepiej. Poznałem jej straszne losy z opowiadań rodziców i jej pamiętnika. O tym, co przeżyła w fabrykach śmierci za sprawą nazistów, wolała bardziej pisać niż mówić. Mimo upływającego czasu wspomnienia były dla niej zbyt bolesne. Wydawać by się mogło, że z takiego zła nie da się wydobyć nic dobrego. Jestem jednak pewny, że bardzo ważne dla niej wartości jak szacunek do życia, do drugiego człowieka, miłość do ojczyzny, które przekazała kolejnym

pokoleniom wynikały z jej bardzo trudnej przeszłości. Była przekonana, że tylko one mogą uchronić ludzi przed powtórką takich tragicznych losów. Jestem dumny z tego, jaką dzielną kobietą była moja prababcia Franciszka.

Najstarszy syn babci Franciszki to Józef, który jest moim dziadkiem. Całe swoje dzieciństwo i lata młodości spędził w Konradowie, gdzie uczył się i pomagał rodzicom w codziennych obowiązkach. Po ukończeniu Szkoły Zawodowej Przemysłu Szklarskiego w Szczytnej rozpoczął pracę w Hucie Szkła „Wioletta” w Stroniu Śląskim. W 1966 roku poszedł na dwa lata do wojska. Po powrocie pracował w szlifierni kryształów w Bielsku Białej i Raciborzu. Na początku lat 70 – tych wrócił w rodzinne strony, gdzie podejmował się dorywczych prac na budowach. W 1972 roku ożenił się z Marią Kinasz, która tak jak on pochodziła z Konradowa. W 1973 urodziła im się córka Małgorzata, a po trzech latach syn Jarosław, który jest moim tatą. W 1975 roku mój pradziadek Augustyn Kinasz wyjechał z Konradowa do Lubina w poszukiwaniu lepszego życia. Dostał pracę w kopalni w Zakładach Górniczych „Lubin”. W 1977 roku ściągnął do Lubina moich dziadków Zawadzkich z dziećmi oraz resztę swojej rodziny, czyli żonę oraz dwie nastoletnie córki Basię i Brygidę. Dziadek Józef również rozpoczął pracę w kopalni ZG „Lubin” gdzie pracował do uzyskania praw emerytalnych. W międzyczasie dostali tu mieszkanie. Dzieci zdobywały wykształcenie – zapuszczali na tych ziemiach swoje własne korzenie. Mój tato skończył szkołę górniczą i pracuje w tym zawodzie już 24 lata. Ja również wybrałem taką drogę i jestem z tego powodu szczęśliwy. Teraz to Lubin jest naszym miejscem na ziemi.